

Wokół rozumienia szaleństwa. Szkice z zakresu humanistyki,
red. Paulina Prus, Adrian Stelmaszyk, Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2012, ss. 235

W dniach 22–23 kwietnia 2010 roku odbyła się na Wydziale Filozofii UMK w Toruniu konferencja zorganizowana w ramach działalności Koła Naukowego Filozofii Praktycznej, nosząca tytuł „Białe ściany czy orszak Dionizosa? Zrozumieć szaleństwo – między psychologią a filozofią”. Pokłosiem tego wydarzenia naukowego jest recenzowana tu książka.

Tematyka tego wydania, jak i sposób jej prezentacji, pozwoliły ująć problem z wielu perspektyw, nadać badaniom charakter interdyscyplinarnej, co w znacznym stopniu podnosi naukową wartość tej pozycji. Można w zasadzie uznać tę książkę za dobrze skrojoną monografię naukową. Za takim ujęciem przemawia nie tylko różnorodność perspektyw badawczych, lecz także przejrzysty podział tematyczny, gdyż teksty podzielono na trzy dobrze przemyślane bloki tematyczne. Są to: 1. Szkice psychologiczno-psychiatryczne, 2. Szkice filozoficzno-antropologiczne, 3. Szaleństwo – studium przypadku. Może więc dziwić propozycja redaktorów, by poszczególne rozdziały czytać losowo (s. 7). Owszem, jest to pomysł ciekawy, ale zapewne skorzystanie z niego zaowocowałoby niedostrzeżeniem tego, jak wyczerpująca i dobrze skonstruowana jest ta książka. Oczywiście trudno byłoby się spodziewać, że tematykę takową da się zaprezentować całościowo w jednym wydaniu, zatem nadzieja redaktorów, że pozostawiają czytelnika z „niedosytem, dając zaledwie pretekst do własnych refleksji” (s. 9) jest w pełni uzasadniona. Niedosyt pojawia się także z tego powodu, że jest to jedynie zbiór krótkich wystąpień konferencyjnych, które chyba jednak powinny być nieco rozpisane na potrzeby tej książki. Na pewno podniosłoby jej wartość naukową zaprezentowanie nie samych wystąpień, ale ich rozpisanych wersji, bo wtedy autorzy nie musieliby w wielu miejscach stawiać trzech kropek, a także mogliby odpowiedzieć na większość stawianych przez siebie pytań.

Nie należy do recenzji streszczanie omawianej pracy w całości, skupmy się więc na jej strukturze, koncentrując się na co niektórych tek-

stach, aby ukazać wspomnianą interdyscyplinarność, a także te teksty, które spełniają zamysł autorów o „ukazaniu nieznanych jeszcze ścieżek badawczych” (s. 7).

Tekst M. Harasimowicz (UPJP II), *Czy szaleństwo to słowo-wytrych? O interdyscyplinarnym charakterze badań nad szaleństwem*, stanowi wstęp do pierwszej części książki, jednak dobrze spełniałby też rolę wstępu do całości. Traktowanie słowa szaleństwo jako słowo-wytrych (w innym znaczeniu niż słowo-klucz) pozwala zrozumieć jego sens, który często wymyka się próbom uchwycenia. Bo w końcu, zgodnie z tytułem konferencji, czy jest ono opisem obłąkania, czy też pierwiastkiem dionizyjskim? Nie można uznać jednoznaczności tego pojęcia, przyjęcie zaś jego wieloznaczności (lub dwuznaczności) czyni je mętym. Autorka dowodzi, że wspomniana mętność jest jedynie pozorna, wszystko zaś zależy od kontekstu użycia, z którym wiąże się „czynnik wartościujący” (s. 15). W psychologii i psychiatrii wartościujemy szaleństwo jako zachowanie odbiegające od przyjętej normy, stąd wartościowanie to uznajemy za negatywne. Podobnie w filozofii, gdzie „Mit Rozumu” uznaje racjonalność (przeciwieństwo szaleństwa) za „zjawisko powszechne i pożądane” (s. 19). Widać to u Foucaulta w jego koncepcji normalizacji. Ale jest też druga strona medalu, Nietzscheańska dionizyjskość, która, będąc twórczym szalem, pozwala na transgresję, przekroczenie rzeczywistości. Religioznawstwo wartościuje szaleństwo na różne sposoby. Bywa ono domeną głupców, ale też porzuceniem obowiązujących w danym systemie norm, a w znaczeniu trzecim, jednoznacznie pozytywnym, stanowi przejaw odwagi cechujący „bożych głupców” (s. 22).

A. Szczęsna (UJ) bada losy *homo demens*, czyli opis człowieka szalonego, ukazując przede wszystkim relatywizm tego określenia. W naszej kulturze zauważamy tendencję do tego, by w pojęciu choroby psychicznej zamykać cały wachlarz schorzeń różnego rodzaju, tak jak różne zaburzenia zamyka się w ujednoczonym pojęciu (po prostu zaburzenia), bez konkretnej parcelacji. Nauka podlega jednak ciągłemu rozwojowi, co pozwala wyszczególniać coraz więcej przypadków szaleństwa, nie używając w zasadzie do ich określenia samego terminu szaleństwo. Relatywizm w naszej kulturze, brak możliwości „wypracowania jednoznacznej i stałej koncepcji normalności i choroby” (s. 31), koresponduje z relatywizmem między kulturami. W końcu różne kultury cechują się osobnymi hierarchiami wartości, zatem ich pojęcia inności także będą się między sobą znacznie różnić. Dodajmy do tego jeszcze wymiar historyczny, czyli zmienianie się poglądów na temat normy i choroby na przestrzeni lat. By uchwycić ten wymykający się ścisłym określeniom problem, autorka proponuje bardzo trafny podział kultur na „kultury szaleństwa” i „kultury choroby”. Egzemplifikację pierwszej z nich widzi w kulturze Indian Dakota, gdzie nie obowiązywały kategorie normy i patologii, szaleniec zaś uznawany był za dotkniętego obecnością

mieszkającego w nim szczególnego bóstwa. Przedstawicielami kultury drugiego rodzaju jest nasza kultura, która termin szaleństwo zastąpiła terminem zaburzenie, chorych zaś stara się hospitalizować, przywracając ich społeczeństwu.

Zarys początków naszej rodzimej psychiatrii zaprezentowała M. Marcinów (również UJ). Stwierdzając, że temat praktycznie nie jest badany, autorka stara się poczynić szkic do pogłębionych, wyczerpujących badań. Jeszcze w XV w. powszechnym było u nas pojęcie *owileć*, co sugerowało, że szalony jest opętany przez *jędze* czy *wiły*. Przed nastaniem chrześcijaństwa chorych „leczono” zaklęciami i odczarowaniami, później maściami z błota, żab, kretów czy robaków. Okresy późniejsze to czas prześladowań osób cierpiących psychicznie, a dopiero Jan Olbracht nakazał (1496 r.) opiekę nad nimi. Był to proceder prowadzący do dalszego wdrażania prawnych rozwiązań dotyczących szaleńców. Dzięki temu już w XVIII wieku mieliśmy specjalne komisje orzekające o chorobie i nakazujące metody hospitalizacji, znane zaś na Zachodzie makabryczne metody leczenia (zapiękanie głów, zamykanie w skrzyniach, puszczanie krwi z oczu i uszu) nigdy nie były u nas stosowane. Powstające już wtedy pierwsze rozprawy medyczne przyczyniły się do rozwoju wiedzy psychiatrycznej, a w 1862 roku do utworzenia Katedry Psychiatrii w Warszawskiej Szkole Głównej.

M. Budzowska (UŁ), z kolei, ukazuje, jak starożytni filozofowie i dramatopisarze podchodzili do kwestii chorób psychicznych i szaleństwa w ogóle, widząc ich źródło w ludzkich emocjach. Autorka postuluje się określeniem „efekt Lucyfera”, które jest późniejsze, ale dobrze określające koncepcję, w myśl której w każdym człowieku skrywa się zło, mogące w odpowiednich warunkach powodować jego czynami.

Szukuje opis makabrycznych praktyk Kliniki Psychiatrycznej Burghölzli w Szwajcarii autorstwa A. M. Dubaniewicz (UWr). Znamy ją z pierwszych przełomowych metod teorii i pojęć psychiatrycznych, ale o stosowaniu eugeniki, praktyk społeczno-higienicznych już pod koniec XIX w. rzadko się wspomina. W praktyce chodziło o wyplenienie jednostek chorych, uznanych za mało wartościowe i szkodliwe w procesie doboru naturalnego i chowie rasowym. Na koszt pacjenta przeprowadzano kastracje, sterylizacje i zazwyczaj kończące się śmiercią praktyki na onanistach, ludziach nerwowych czy zwyczajnie ludziach słabego charakteru, „podludziach” (s. 82). Klinice najpierw przewodniczył August Forel (wybitny badacz mózgu i entomolog), później jego uczeń Eugene Breuler (twórca pojęć schizofrenia, autyzm, ambiwalencja). Badacze wybitni, a jednak przejęci tępieniem jednostek słabych i koniecznością „poprawnego” doboru naturalnego. Co przeraża najbardziej? Że strażnik uznał za jedyne chorego w Klinice doktora Forela, choleryka, który wolał zamykać się z robakami i ślimakami, niż rozmawiać z ludźmi; że rzadko pojawiające się publikacje prasowe niczego nie zmieniały,

choć budziły oburzenie; że jeszcze w 1987 roku przeprowadzano sterylizacje kobiet w wieku 17–25 lat; że dopiero 11 marca 2004 roku przeszła ustawa zakazująca takich praktyk. Z tekstem tym koresponduje artykuł U. Zbrzeźniak (UW), opisujący psychiatrię w kontekście władzy-wiedzy Foucaulta.

Na wstępie części drugiej, filozoficznej, antropologicznej i religijnej, J. Posłuszna (UMCS) opisuje szaleństwo w mitach antycznych dotyczących muzyki. Od Orfeusza, którego śpiew „godził zwaśnione strony i koił rany” (s. 100), przez Marsjasza, którego los stanowi przykład muzyki „jako strasznego bóstwa” (s. 102), aż po Nietzscheańskie zestawienie Apolla i Dionizosa. A. Szymańska (UW) zaś stawia ciekawą tezę dotyczącą szkoły cynickiej. Przedstawiciele tego nurtu „uchodzili za szaleńców ze względu na swoje kontrowersyjne zachowanie” (s. 113). Gdyby jednak odwrócić ten porządek, to przecież stali oni po stronie natury i głosili wysokie ideały moralne, zatem to raczej ludzie czujący się zgorszeni ich nauką i czynami winni zostać uznani za szalonych. Ostatnim tekstem dotyczącym antyku jest referat J. Figas (UJ), odnoszący się do różnych rodzajów szaleństwa w Biblii hebrajskiej, jednak trudno byłoby ten ciekawy tekst streścić, nie cytując go w całości.

Tekst P. Dziegielewskiego (UMK) można traktować jako doskonały przykład poczynionej przeze mnie uwagi na temat konieczności pozostawienia autorom możliwości rozpisania tekstów przed ich publikacją. Autor daje wyraz doskonałemu odczytaniu w tematyce mistyki i jej badaczy, jednak na zestawienie tych rozważań z kategorią szaleństwa miejsca już nie pozostało. A szkoda, bo widać, że miałyby niejedno do powiedzenia w kwestii tego, jak zestawić doświadczenia mistyczne z szaleństwem, czy wyniki badań osób analizujących stany mistyczne z wynikami badań na temat chorobowych stanów mentalnych.

Trzy kolejne teksty nawiązują w różnym stopniu do Foucaulta, o którym w recenzowanej książce wspomina się wielokrotnie. A. Dyra (UJ) ukazuje, jak Horkheimer i frankfurtczycy starali się uciec z klatki „żelaznej racjonalności” poprzez „racjonalne szaleństwo”. M. Marciniak (UJ) rekonstruuje, jak Derrida odczytuje Foucaultowską *Historię szaleństwa*, T. Markiewka (UMK) zaś pisze o *Wahadle Foucaulta*, książce Umberta Eco.

W ostatnim rozdziale tej części K. Sokołowski stara się zrekonstruować napięcie pomiędzy jednostką a wspólnotą, które może doprowadzić do szaleństwa. Tekst dotyczy koncepcji Witkiewicza. W myśl tej koncepcji człowiek jest czymś tajemniczym, ale próbującym własną tajemnicę zrozumieć. Jest to zadanie trudne, skoro „najbardziej podstawowe fakty dotyczące człowieka są niemożliwe do wyjaśnienia” (s. 168). Niewytłumaczalne dla człowieka jest chociażby to, dlaczego jesteśmy jednością, dlaczego ponadto jesteśmy dwoistością (czasoprzestrzenni, psychofizyczni), dlaczego będąc ograniczeni żyjemy w nieograniczonym świecie. Próby przeniknięcia Tajemnicy podejmują się zawsze kul-

turotwórcze jednostki wybitne, tworzące dzięki temu religię, filozofię i sztukę. Przeciwnością jednostki wybitnej jest „mrowisko”, wspólnota ludzi przeciętnych, którzy dążą jedynie do dobrobytu, ignorując przy tym Tajemnicę. Relacja pomiędzy jednostką a wspólnotą jest dwójakiego rodzaju. W pierwszej fazie jednostka podporządkowuje sobie ogół i dzięki temu tworzy kulturę, w drugiej zaś (która w naszym przypadku rozpocząć się miała wraz z wybuchem Wielkiej Rewolucji Francuskiej – s. 170) ogół dochodzi do głosu, i celem swych dążeń czyniąc własne, materialistyczne potrzeby. Zdaniem Witkiewicza, żyjemy już w okresie zmierzchu sztuki, religii i filozofii i nie ma na to żadnej rady. Nie będzie żadnego Nietzscheańskiego nadczłowieka, jednostka zaś stoi przed tragicznym wyborem: albo dać się stłamsić i podporządkować, stać się częścią maszyny społecznej, albo oszaleć.

Ostatnia część książki nie jest zwyczajnym zbiorem tekstów, które nie mieściły się tematycznie w częściach poprzednich, lecz stanowi faktycznie tytułowe studium przypadku. W pierwszy tekście T. Falkowski (UMK) wskazuje, jak z zagadnieniem szaleństwa radzi sobie historiografia, ukazując problem w perspektywie szalonych cesarów. Pisze nie tylko o przykładach szalonego Nerona czy Kaliguli, lecz także o dziwactwach Klaudiusza czy Kommodusa. Przypadków takich jest oczywiście więcej, bo w końcu „w Rzymie co dziesięć lat Historia »wariowała«” (s. 176). Z jednej strony psychologia stara się analizować szaleństwa cesarów dzisiejszą terminologią badawczą, do której przypadki takowych nie przystają, z drugiej zaś problematyczna wydaje się kwestia wiarygodności przekazu. Dlatego też, idąc za metodą Veyne’a, autor stara się bardziej ukazać sam system sprawowania władzy jako patogeniczny i patologiczny. Przemawia za tym co najmniej kilka powodów, z których prezentuje najważniejsze. Cezarem się nie rodziło, lecz zostawało, przez co z jednej strony zyskiwało się demoralizującą władzę absolutną, ale też władzę nieustannie zagrożoną spiskami i zamachami stanu, które były na porządku dziennym. Owej patologii sprzyjało także otoczenie cesarza, który otoczony był zawsze fałszywymi pochlebcami. To dopiero w średniowieczu dwór i świta wymuszały na królu „pewną umiarkowaną postawę” (s. 182). W końcu także wielość ról, jakie musiał odgrywać władca, nie wpływały dobrze na jego stan psychiczny.

P. Koprowski (UG) prezentuje sylwetkę postaci paradoksalnej, zarówno szalonej, jak i mądrej, a mianowicie ruskiego jurodiwego. Próba to o tyle trudna, że nie ma odpowiednika takiej osoby w żadnej innej kulturze. Po wieloletniej ascezie, poście i umartwianiu w monasterze, jurodiwi wychodzili w końcu między ludzi. Chodząc nago, spali pod cerkwiami, na chruście czy w gnoju i dalej umartwiali swoje ciało, tym samym ćwicząc duszę. Byli przepędzani przez wszystkich, nawet ze schronisk dla biednych. Budzili odrazę swoją postawą, którą chcieli zmusić innych do myślenia, wieść do tej mądrości, którą sami zdobyli.

Postawę takową – zgodnie ze słowami autora tekstu – trudno zrozumieć, gdy funkcjonuje się w innej kulturze. Koprowski stara się też analizować jurodiywch jako schizofreników. Ich sposób życia doskonale ukazuje, że prędzej czy później musieli popadać w stany schizofreniczne, doprowadzając do rozbicia własnej osobowości, ale i zyskując mądrość, do której zmierzali.

Innego „szaleńca i mędrca w jednej osobie” (s. 197) opisuje M. Wąski (UŁ), a mianowicie postać błazna. Określenie błazen często rozumiano (i dziś rozumie się jeszcze) jako synonimiczne z określeniem głupiec. Dla wielu badaczy (ex. Brant) taka postawa była czystym szaleństwem, ale też inni (jak Erazm z Rotterdamu) uznawali go raczej za lek, za osobę, która głupotę ukazuje z ironią, w ten sposób pozwalając ją zrozumieć. Przychodząc do dworu niejako z zewnątrz, był błazen osobą, która rzekomo burzyła jego ład i strukturę, ale stawała się tego dworu wizytówką i zwierciadłem.

Zamiast zakończenia redaktorzy zamieścili rozmowę z lekarzem i filozofem, dr. hab. Andrzejem Kapustą (UMCS), autorem książki *Szaleństwo i metoda. Granice rozumienia w filozofii i psychiatrii*. P. Prus pytała w wywiadzie o przyczyny powstania tej książki, o powody, dla których tematyka szaleństwa cieszy się wciąż znaczną popularnością wśród humanistów, jak również o stosunek autora do nurtu antypsychiatrii czy nadużywania kategorii obłądu. Nie zabrakło też pytań dotyczących kwestii drażliwych, takich jak sprawa Breivika i „obrońców krzyża”.

Komu polecić recenzowaną książkę? Jako że jest to pozycja interdyscyplinarna, należy ją adresować do przedstawicieli każdej dyscypliny, z którą się wiąże, to jest: psychiatrii i psychologii, filozofii i antropologii, kognitywistyki, socjologii, a także historii czy literaturoznawstwa. Nade wszystko zaś do tych przedstawicieli wymienionych nauk, dla których kategoria szaleństwa jest przedmiotem lub choćby kontekstem badań. Z pewnością omówiona tutaj pozycja jawić się im będzie jako wartościowa i przydatna.

Marcin Pełka